

Starorzecze.

Bezmiar gorzkiej zadumy,
Kasetka metalowa, Ciało kobiety,
sygnet i pierścionek

Przed wojną ukazywał się w Warszawie tygodnik ilustrowany Świat. Mama jako studentka przez parę miesięcy miała tam praktykę.

Opowiadała o młodym człowieku, który przyszedł do redakcji z plikiem zdjęć. Widać było, że bardzo potrzebował pieniędzy. Redaktor jęknął: – No dobrze, dobrze, niechże pan pokaże te swoje dzieła, skoro już pan był łaskaw nas odwiedzić... Mmmm... To ostatecznie moglibyśmy kupić... Tego nie kupimy... No, niech tam, kupimy, choć mogłoby być lepsze... Do niczego... Jak panu nie wstyd? Słabiutkie... To interesujące, ale się nie nadaje...

– Czemu się nie nadaje? – spytała mama.

– Bo w druku straci wszelkie walory i wyjdzie jako szary placek. Zdjęcie dobre, nastrojowe, tylko nie do publikacji w czasopiśmie.

– Szkoda, bo mnie się bardzo podoba.

Młody fotograf, który błdził wzrokiem po suficie, wypatrując haka, na którym za chwilę wszystkich powywiesza, niespodziewanie się rozpromienił.

– Naprawdę się pani podoba?

– Tak. Uważam, że to znakomite zdjęcie.

– Jakby je pani zatytułowała?

– Bezmiar gorzkiej zadumy – powiedziała szczerze.

– Och, jakie to pretensjonalne! – westchnął redaktor – i pani chciałaby pracować w dziennikarstwie? Z nudzi pani czytelników na śmierć. Poza tym – proszę wybaczyć, pani Zosieńko, ale osóbcie w pani wieku doprawdy nie przystoju takie cierpiętniczo-przemądrzałe miny.

– Zamknij się pan! – warknął nerwowo młodzieniec.

– Drogi przyjacielu. Jeśli panu zależy, żebyśmy kupił pańskie zdjęcia, to niechże pan przynajmniej nie podnosi na mnie głosu. Ma pan w pobliżu sklep Wedla, dom braci Jabłkowskich, inne magazyny. Proszę tam pójść i łaskawie sprawdzić, czy subiekcji krzyczą na klientów. Zresztą, weź pan na zdrowy rozum: czy to w ogóle możliwe? Z jakiejże racji klient miałby znosić afronty ze strony sprzedawcy? Czy widział pan coś podobnego?

– Kupujesz pan, czy nie?

Redaktor się uśmiechnął.

– Kupuję.

– No, wreszcie powiedział pan coś mądrego. A to niech pani przyjmie ode mnie na pamiątkę. Proszę.

– Ależ nie mogę, nie wypada.

– Bardzo panią proszę!

– Przecież nie mogę przyjmować prezentów od nieznajomych.

– Natychmiast podre, jeśli pani nie przyjmie! – huknął artysta, gotów rzucić się na mamę z pięściami.

Zdjęcie przedstawiało szuware na jeziorze. Kilka żdźbeł, ledwo widoczny ślad poruszonej wody i cieniutka kreska horyzontu. Poza tym szarość, cisza, mgła. Mama nie mogła sobie później darować, że nie zapamiętała nazwiska autora.

Pojęcia nie mam, w jaki sposób Bezmiar Gorzkiej Zadumy zdołał przetrwać powstanie, wysiedlenie, przeprowadzki. Potem wisiał w pokoju mamy w Alejach Jerozolimskich, kilkaset metrów od ulicy Szpitalnej, gdzie przed wojną była redakcja Świata.

Atmosfera października 1956 roku sprawiła, że postanowiono zrekonstruować firmowy sklep Wedla. Miał być staroświecki, przytulny, jak za czasów Prusa, Sienkiewicza i carskich oficerów. Wstawiono nieczynną zabytkową kasę z korbką, udrapowano firanki, powieszono rysunki Uniechowskiego. Co prawda sprzedawczynie miały fartuchy, fryzury i maniery jak w sąsiednim warzywniczym, ale zaopatrzenie lepsze, wystrój elegantszy. U Wedla stało się w kolejce dłużej niż w zwyczajnym spożywczym, lecz mordęga miała odświętny charakter, bo cel był szlachetniejszy.

Fabryka jak dawniej nosiła nazwę: „Zakłady im. 22 Lipca”, ale sklep był wedlowski, wyroby na eksport wedlowskie. Wkrótce rodzina Wedłów wytoczyła proces (Polsce Ludowej! W głowie mi się to nie chciało pomieścić) o bezprawne używanie znaku firmowego, skutkiem czego nazwę „E. Wedel” zmieniono na „d. E. Wedel”. Niebawem nastąpiły dalsze metamorfozy, czary-mary z wielkością liter, kolejnością słów, maskujące wywijasy wokół „d.”, długo by pisać.

Obok sklepu otwarto stylową cukiernię, jedyne miejsce w Warszawie, gdzie podawano gorącą czekoladę. Siedzę z mamą i siostrami, uroczysty nastrój, pławimy się w luksusie, rozmawiamy półgłosem, trochę nieśmiało, aż tu wołanie od sąsiedniego stolika:

– W imię Ojca i Syna! Pani Zosieńka?! To pani żyje? Coś podobnego! No proszę, proszę. A mówiono, że zginęła pani na Czerniakowie. Pamięta mnie Pani? Ależ co za pytanie, przecież terminowała pani u mnie przed wojną tu, na Szpitalnej, jakże mogłaby Pani zapomnieć!

Pan redaktor przeniósł filiżankę na nasz stół, cmoknął Mamę w rękę, usiadł zamasyżycie.

– Przyszedłem porozmawiać z duchami, i proszę, jaki powabny duch! *Dlaczegoż to duchu zażywasz dziś rucha?* Tak mówi Hamlet w pierwszym akcie, wersja młodzieżowa, nauczyłem się od syna. Mam z nim krzyż pański, postanowił zostać sławnym aktorem. A pan kim chce zostać, młodzieńcze?

– Alchemikiem.
 – Właśnie mieliśmy wyjść – dodała mama.
 – To świetnie, bo ja też – ucieszył się domyślny redaktor. Odprowadzę państwa.

Mama miała pewną przykrą dolegliwość. Może nie tyle dolegliwość, co mankament. Niedostatek, który okropnie jej doskwierał. Była zbyt uprzejma. O wiele za uprzejma jak na warunki, w których przyszło jej żyć. Wstyd powiedzieć: zupełnie nie umiała opętać się od natrętów i wariatów. Przyjmowała jako rzecz oczywistą, że rozmówca jest człowiekiem kulturalnym, zrozumie aluzję i nie będzie się narzucać. A potem kolejny raz nie mogła wyjść z podziwu, że jej przewidywanie okazało się nietrafne. Zaskakiwało ją to jak zima drogowców. Żyła na rozmaitych pseudoprzyjaciół i ćwierćznajomych, nie chcąc (nie mogąc?) przyjąć do wiadomości, że po raz kolejny popełnia ten sam błąd poznawczy. Natomiast ja dobrze wiedziałem, że pan redaktor wejdzie za nami do mieszkania, zostanie uprzejmie potraktowany („ależ prosimy, prosimy, ogromnie nam miło, wcale pan nie przeszkadza, nigdzie się nie śpieszę”), dostanie herbaty, zasiedzi się, będzie gadać o Duni Maryni, zapamięta adres, a później nie zanie dnia ani godziny.

Tymczasem siedł obok Mamy, paszczyka mu się nie zamykała.

Nagle przerwał w pół słowa i wykonał głęboki ukłon w stronę ubogo, ale schludnie odzianego staruszka.

– Moje uszanowanie panu! Co słychać? Jak się panu powodzi?

Staruszek uchylił kapelusza, mruknął coś.

– A jak łaskawy pan znajduje sklep i cukiernię?

– Jeszcze nie oglądałem, jakoś się nie złożyło – wymamrotał opryskliwie staruszek i minął nas bez zatrzymania.

– Wiecie państwo, kto to był? Pan Wedel we własnej osobie. Mieszka tu, w swojej przedwojennej kamienicy. Nie wiem detalicznie – może w stróżówce, a może mu przydzielili przechodni pokój z używalnością kuchni i łazienki.

– Prawdziwy Wedel, nie 22 Lipca? – spytałem.

– No wiesz, synku! – napomniała mnie Mama i spojrzała trochę weselej.

– Prawdziwy – odpowiedział poważnie pan redaktor.

– To czemu pan pytał, jak mu się powodzi? To przecież oczywiste.

– Bo tego wymaga grzeczność, młodzieńcze. *Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.*

– Faktycznie – powiedziała Mama i łypnęła w bok. A potem spytała:

– Może Pan wpadnie do nas na chwilę?

Pan redaktor krygował się staroświecko: gość nie w porę gorszy Tatarzyna, pewne zwierzę i gość nigdy nie ma dość – ale przecież dał się ubłagać, wszedł, zasiadł na honorowym miejscu, dostał angielskiej herbaty z paczki i przez bite dwie godziny opowiadał o swoim synu. Och, gdyby gdzieś można było pożyczyć cza-

rodziejski młotek do wybijania niedorzecznych myśli z młodocianych głów... Pani Zosieńko, może Pani ma taki młotek? Nie? Wielka szkoda. Przeplatał te wywody wybuchami radości: jak to wspaniale, że jesteśmy sąsiadami, on mieszka dosłownie parę kroków stąd, na Nowogrodzkiej 24. Obiecuje solennie, że się poprawi (?), będzie wpadać albo telefonować, choć jest człowiekiem ogromnie zajęтым i nie ma skąd dzwonić.

Dotrzymał słowa. Wpadał, telefonował.

Wkrótce przyszedł podzielić się smutną wiadomością. Otóż syn wkręcił się do filmu. Wygrał jakieś eliminacje, dali mu rolę. Zasmakuje, w głowie mu się przewróci, już mu stary ojciec tego aktorstwa z głowy nie wybije. Złamane życie, szkoda chłopaka... – A może zostanie po nosie i zrezygnuje? – pocieszała Mama. – Ależ pani Zosieńko, co też pani mówi najlepszego. On, zrezygnuje? Nigdy, przenigdy. Zresztą trudno. Będzie, co ma być.

I tak oto przez kilka lat, chcąc nie chcąc, śledziłem początki kariery jednego z najwybitniejszych polskich aktorów.

Podczas jednej z ostatnich wizyt pan redaktor przyniósł Mamie rewelacyjne ziółka z bardzo skomplikowanym sposobem użycia, który musiałem natychmiast przepisać na maszynie. – To świetny, wypróbowany środek, zobaczy pani. Tylko, pani Zosieńko, niechże pani nie będzie gapcia i regularnie zażywa, bardzo proszę. Przeczytałem w gazecie, że Adenauer ciężko chory, posłałem. Niech wie, że my Polacy jesteśmy szlachetnym narodem i stać nas na taki gest. I wyobraźcie sobie państwo: dwa tygodnie później czytam w *Expressie*, że stan zdrowia Adenauera znacznie się poprawił. Nie wiem, czy od ziółek, czy od tego, że ten człowiek na łożu śmierci zapewne miał wyrzuty sumienia i czekał na jakiś gest z Polski. Może jedno i drugie.

Wkrótce wyprowadziliśmy się z Alej, pan redaktor nie zadzwonił do Mamy pod nowy adres, zaś Adenauer, mimo ziółek, zmarł.

Kasetka metalowa

Przenośna, zamykana na jeden klucz. Pełno takich. Wykonane z grubej emaliowanej blachy, służą do podręcznego przechowywania pieniędzy, biletów, kwitów. Wtedy takie kasetki nazywały się „ogniotrwałe” albo „pancerne”. Ha, były to czasy wiecznych ołówków, atomowych okularów słonecznych, niemnących tkanin i innych dumnych nazw.

Leżała na dnie szafy. Parę razy pytałem Mamę, co w niej jest.

– Nie wtykaj nosa do cudzego prosa.

Rozeszliśmy się w różne strony, Mamie przypadła kawalerka na Muranowie. Pierwsze piętro, balkon, ci-sza, drzewa za oknem.

Zaprosiłem ją na lato do Zakopanego, ale powiedziała, że od czasu do czasu znajduje w drzwiach skrawki papieru albo ułamane zapalki. Stary złodziejski sposób sprawdzania, czy lokator jest w domu.

– Boję się wyjeżdżać na dłużej. Namierzają mnie.

Jeździła więc do przyjaciółki na działkę w Komorowie. Co dzień, dwa wracała podlewać kwiatki, opróżniać skrzynkę na listy, puszczać głośno radio i wyjmować papierki z drzwi wejściowych.

Ktoregoś dnia niespodziewanie wpadłem do Warszawy. Zapukałem, Mamy nie ma. Wyciągnąłem z plecaka klucze, chcę otworzyć, otwarte. Drzwi balkonowe też otwarte. W mieszkaniu ślady włamania. Zadzwońm po milicję, potem do Komorowa. Mama przyjechała, gdy ekipa kończyła oględziny.

– Co pani zginęło?

Najcenniejsze rzeczy były tam, gdzie je pochowała: dolary w kubie na śmieci, sygnet w kaszy gryczanej, złota obrączka babci w kieszeni fartucha.

– Ukradli metalową kasetkę. Leżała w szafie.

– Co było w tej kasetce?

– Listy miłosne mojego świętej pamięci męża. Z podchorążówki we Włodzimierzu Wołyńskim.

– Coś więcej?

– Chyba nic więcej.

Podpisaliśmy protokół, wyszli. Mama zdjęła z półki kilka tomów, zanurkowała, wyjęła butelkę koniaku.

– Od paru lat myślałam, żeby je spalić. Ale jakoś trudno mi było. Skocz, kup złotego sera na zagrychę.

Poszedłem na dłuższy spacer. Gdy wróciłem, już nie płakała. Nalała koniaku, pokroiła ser w kosteczki. Z zimowych, mocno zniszczonych butów wyjęła srebrne secesyjne widelczyki.

– Ależ oni musieli być wściekli! Tyle przygotowań, nadziei. Wreszcie skok, wszystko idzie jak z płatka. Porwali kasetkę, więcej nie szukali. Fart! Wio na melinę! Pewnie jeden dłużej, inni go popędzali. Trzask, zamek ustąpił. Macie, dzielcie się!

Twój ojciec tyle lat nie żyje, a wciąż się mną opiekuje. Należy jeszcze.

Było ich trzech przyjaciół: Adam, Pawian i Antek. Adam i Pawian studiowali polonistykę, pisywali wiersze. Mieli, jak to się mówiło na kresach, głowy w chmurach i morze po kolana. Antek był na politechnice i dobrotliwie się z nich podśmiewał. Później mi się zwierzył, że też chciał być polonistą, ale ojciec uznał, że to nieodpowiednie dla mężczyzny. Zresztą o jejku, politechnika, polonistyka, wielka mi różnica. Pewna moja koleżanka, nie powiem ci kto bo ją znasz, jako pensjonarka przeżyła dramat: przez parę tygodni wkuwała zawzięcie historię literatury polskiej, a potem długo płakała w poduszkę, bo się okazało, że jej Apollo studiował nie polonistykę, lecz politechnikę, spór klasyków z romantykami nic go nie obchodził, natomiast był przekonany, że najlepszy sposób na dziewczynę to dwugodzinny wykład o kratownicach mostowych.

Adam wydrukował erotyk w Wiadomościach Literackich. Koledzy dowcipkowali, a ja domyśliłam się od razu, że to do mnie. Wręczył mi egzemplarz, czekał co powiem. Nie doczekał się, ponieważ to ja do cholery czekałam aż zbierze się na odwagę i oświadczy mi się

wprost. Mężczyzna ma być mężczyzną, a dopiero potem ewentualnie poetą.

No i tak.

Wiesz, zeszłego roku zdarzyło mi się coś bardzo dziwnego. Idę ulicą, mam pełną głowę kłopotów, marnie się czuję – i nagle ni z tego ni z owego staje mi przed oczyma ten wiersz. Chwilkę wcześniej nie wiedziałam, że znam go cały na pamięć. Zrobiło mi się słabo, przysiadłam na ławce, zażyłam lekarstwo. A po dwóch dniach w gazecie nekrolog Adama. Nie myślałam o nim, nie widziałam go od wojny, chociaż mieszkał w Warszawie. Chyba umierał właśnie wtedy, gdy mi się to stało. Strasznie jesteśmy mądrzy, latamy na księżyc, ale nie mamy zielonego pojęcia o podstawowych sprawach. Pewnie, że należy. Nie pytaj. Chorych pytają.

Nie chcę cię martwić, synku, ale wy, mężczyźni, jesteście czasem strasznie durni. Takie bałwany, że tylko stanąć i podziwiać w niemym zachwycie. Pawian zadreślał się przez kilka lat, czy wyjdę za niego. Otóż nie zwrócił się z tym problemem do mnie, osoby bądź co bądź kompetentnej, tylko do wróżki. Ta za odpowiednią opłatą powiedziała, co chciał usłyszeć, że mianowicie planety mu sprzyjają i ma mnie jak w banku. Planety może sprzyjały Pawianowi, ale ja zaczęłam sprzyjać twojemu ojcu, więc Pawian poważnie się zaniepokoił, jeszcze raz poszedł do wróżki. Przyjęła drugie honorarium i po raz drugi zapewniła go solennie, rzucając na szalę całą swoją wiedzę fachową i autorytet moralny, że tylko on, Pawian, się liczy, zaś Antek to przelotny dziewczęcy kaprys.

Gdy ogłosiliśmy z Antkiem datę ślubu, Pawian się upił, dostał szału i pogalopował do wróżki. Mieszkałam wtedy z tatusem, czyli twoim dziadkiem, w hotelu sejmowym. Drzemie sobie na kanapce o szarej godzinie, a tu wdziera się do pokoju jakieś przerażone, rozczochrane babsko. – Zaklinam panią, niech pani natychmiast zerwie zaręczyny i wyjdzie za tamtego. To straszny człowiek. On gotów na wszystko. Panią zabije, siebie zabije, a co gorsza, mnie zabije!

Opowiedziałam to Antkowi. Wpadł w furję, wykrzykiwał, że Pawian jest cymbał, idiota, kretyn (to były straszliwe wyzwiska), że mu mordę skuje. Ledwie go ublażałam, żeby dał spokój.

Chodźmy na obiad. Muszę zjeść coś gorącego, a gotować mi się nie chce.

Najbliżej była restauracja „Smok” na Smoczej, chluba Muranova. Usiedliśmy. Mama włożyła okulary i zaczęła studiować kartę.

– Czy możesz mi wyjaśnić, co to jest *kotlet z gramaturą*? – To znaczy, że ten kotlet w ogóle waży. – Głodna jestem, proszę mniej gramatury, a więcej kotleta. *Spiecz to pewnie z pieczarkami.... Konsument ma prawo wyboru dodatków do dań głównych.* Piękna zasada. Co byś powiedział: może by ją tak rozciągnąć na pracę zawodową i życie osobiste? *Piwo sprzedaje się tylko do konsumpcji.* No, proszę – tutaj przymus, a w Pewexie, jak kupujesz

koniak, to możesz go skonsumować albo nie, wolna wola. Wiesz, tutaj piszą, że jeśli chcemy zachować prawo do reklamacji, to nie wolno nam zjeść więcej niż jedną trzecią dania głównego. Jacy oni mili. Wypadałoby się czymś zrewanżować. Zrobię korektę tej karty. Myślisz, że się ucieszą? Tu jest napisane jak się nazywa kierownik lokalu, szef kuchni i kto jest odpowiedzialny za recepturę. Ale zapomnieli podać kto przepisywał na maszynie. *Odpowiedzialna za ortografię Marika Alfabeta.* Zobaczysz, że tej karcie poświęcą najbliższą operatywkę i sytuacja ulegnie dalszej systematycznej poprawie. Będzie w tym jakaś częśćka mojej zasługi.

Ciekawe, dlaczego kobiety tak długo przechowują listy miłosne. Pierwszym listem narobiłam Antkowi kłopotu. Wielmożny Pan Antoni Kroh, Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii, Włodzimierz Wołyński. Stoją chłopaki w dwuszeru, porucznik rozdaje listy. – Wielmożny Pan, wystąp! Cisz. – Co, Wielmożny Pan ogluchł! Wystąp! A może Wielmożny Pan nie raczy? Dali mu przeze mnie wycisk. Jeszcze tego samego dnia telegrafował, żeby listy adresować kapral podchorąży.

Och, synku. Opowiedzieć ci jeszcze o moich adoratorach? Bo jeśli myślisz, że to wszystko, to się gruuuboo mylisz...

Podszedł kelner.

– Chciałbym państwa skasować, bo zaraz będzie działalność rozrywkowa.

Ciało kobiety

To nie tytuł brukowej powieści ani tomiku młodopolskich wierszy, lecz atlasu anatomicznego, należącego do Babci; wydawnictwo Arcta, Warszawa 1906. Wpadł mi w ręce, gdy miałem dziesięć, może jedenaście lat. Ogromnie lubiłem oglądać atlasy. Geograficzne. Nie wiedziałem, że prócz nich istnieją jeszcze jakieś inne. Kobieta jako nieznany ląd – coś w sam raz dla mężczyzny w moim wieku.

Na okładce dama w ciemnej brązowej spódnicy, białej bluzce z koronkowym żabotem, eleganckim kapeluszu. Patrzy w dal. Ani się domyśla, że ją podglądam. Otwieram – ta sama kobieta, ale bez bluzki i spódnicy, a nawet bez skóry, cała w czerwono-niebieski deseń: układ krwionośny. Odwracam. Też układ krwionośny, od tyłu. Na następnej stronicy – same mięśnie. Z przodu. Z tyłu. Kiszki, płuca, wątroba. Z przodu. Z tyłu. Wszędzie pełno cyferek, objaśnienia na marginesie. Aż wreszcie koniec niesamowitej wyprawy – białe kości, też pieczołowicie ponumerowane.

I z powrotem – kościotrup, kiszki, mięśnie, krew, aż do poszarpanej okładki. Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Марта 1906 года. A od frontu jakby nigdy nic – staroświecka modnisi patrzy nieobecny wzrokiem. Nad nią secesyjne litery CIAŁO KOBIETY i pieczątką księgarni w Chelmie.

Niektóre strony miały okienka, które można było otwierać. Otworzyłem płuca, potem nerki, zaglądam co w środku. Otwieram brzuch, patrzę – dziecko, zwinięte w kłębek jak śpiący kociak, ale już gotowe wyrwać się na świat, głową w dół.

– Nie masz się do czego śpieszyć – powiedziała Babcia opryskliwie. Nie zauważyłem, jak podeszła. – Oddaj to. Obejrzyj jak dorośniesz albo po mojej śmierci. A jeśli pójdziesz na medycynę, to ci opowiem o wszystkich moich porodach. Na razie jesteś na to za smarkaty.

Ostatnie miesiące życia spędziła w Sanatorium Przeciwgruźliczym im. Ludwika Waryńskiego przy ulicy PZPR nr 16 w Otwocku. Na tej samej ulicy było Sanatorium im. Feliksa Dzierżyńskiego oraz kilka innych, także imienia sławnych rewolucjonistów. Kto i dlaczego je tak ponazywał, trudno powiedzieć, choć co racja to racja, wszyscy uhonorowani byli gruźlikami. Do Sanatorium im. Ludwika Waryńskiego wchodziło się albo przez bramę, obok gazetki ściennej *Zachowanie się obywatela po ogłoszeniu alarmu atomowego*, albo na skróty, przez jedną z licznych dziur w siatce, zrobionych przez kuracjuszy wymykających się do miasta po wódkę.

Gasła powoli. Pod niektórymi względami umarła kilkanaście lat przed śmiercią. Gdy ją widziałem ostatni raz, już nie mogła mówić. Miała w sobie krew tatarską, a przed śmiercią jej twarz stała się jeszcze bardziej orientalna: wystające kości policzkowe, jastrzębi nos i wielkie, szklane oczy jak u wypchanego drapieżnika. Nawet ręce zmieniły się w szpony. Na lepkiem szpitalnym nakastliku leżały pomarańcze. Babcia ich nie jadła, a ja chętnie byłbym zjadł. Obok pomarańczy różaniec, papierosy i modlitewnik.

Było jasne, że wkrótce umrze, wszyscyśmy się tego spodziewali. Gdy więc wywołano mnie z lekcji trygonometrii do sekretariatu, domyśliłem się. Za biurkiem siedziała pani profesorka od polskiego, za drugim biurkiem sekretarka, a pod ścianą stała woźna. Wszystkie trzy gapily się na mnie dłuższą chwilę, z czegoś zadowolone. Czekałem. Aż wreszcie pani profesor powiedziała właściwym tonem: „Dzwoniła twoja matka, kazała ci powiedzieć, żebyś po szkole nigdzie się nie włóczył, tylko żebyś przyszedł prosto do domu. Zrozumiałeś? No. Żadnego szwendania. Żebyś potem nie słyszał skarg.” Taką znalazły formę, żeby mi oznajmić to, o czym już wiedziałem.

Babcia urodziła się w Piotrkowie Trybunalskim. Jej ojciec, Marian Bobiński herbu Leliwa, wysadzony z siodła po powstaniu styczniowym, był carskim gryzi-piórkim nędznej rangi. Miał furę dzieci. Ogromnie lubił grać w karty. Kiedyś przegrał całą miesięczną pensję i nie mógł zapłacić chesnego w gimnazjum. Poszedł do dyrektora ukorzyć się, prosić o prolongatę, inaczej koniec babcinej edukacji. Dyrektor zgodził się pod warunkiem, że Babcia przejdzie na prawosławie.

I pradziadek przystał na to. Powiedzielibyśmy dzisiaj, że zawarł rozsądny kompromis. Babci, rzecz jasna,

nikt o zdanie nie pytał. Skutek był taki, że koleżanki Polki okrzyknęły Babcię zdrajczynią i przestały się do niej odzywać, a Rosjanki uznały ją za farbowanego lisa. Ale ludzie porządni przecież istnieją na tym świecie: Babcia wspominała z sentymentem jakąś Nataszę Michajłownę, z którą się przyjaźniła i której pisywała wypracowania, aż profesor zawodził:

– Natasza Michajłowna, wied’ wy russkaja, da paczemu-że u was pałanizmy?

Pradziadek Bobiński w ogóle miał lekką rękę do pieniędzy. Kiedyś, zamiast jakiegoś niezbędnego sprawunku, przyniósł do domu porcelanowe czerwone jabłko; córeczka była chora, chciał ją pocieszyć. Słusznie uczynił – niezbędny sprawunek okazał się nie taki znów niezbędny, a porcelanowe jabłko od stu kilkudziesięciu lat podtrzymuje na duchu kolejne generacje chorych dzieci w naszej rodzinie.

Babcia wyniosła z gimnazjum, rzecz ciekawa, ostrą moskalofobię, a jednocześnie miłość do kultury rosyjskiej. Jedno nie przeszkadzało drugiemu. Znała na pamięć obszerne fragmenty Puszkina, Lermontowa, Majkowa, a jednocześnie nie lubiła Szekspira, ponieważ pierwszy raz usłyszała go po rosyjsku. Gdy Mama przyniosła bilety na Hamleta, zareagowała wyniośle:

– Och, już raz byłam, bardzo słaba sztuka. Pamiętam, wyszedł na scenę jakiś podejrzany grubas, z ochrony czy co, wyglądał trochę jak szwajcar hotelowy, trochę jak wachmistrz, popatrzał na wszystkich świdrującym wzrokiem, aż się zlekłam, że zacznie robić rewizję, patrzył tak i patrzył i nagle jak nie wrzaśnie: Był’ ili nie był’ – wot w czom waproś!” Co za głupie stawianie sprawy – jak gdyby można było wybierać między byciem a niebyciem. Um za rozum zaszoł – typowe dla Moskali. Po polsku to się nazywa łapanie lewą ręką za prawe ucho. Zupełnie nie wiem, czym się tu zachwycać.

Po skończeniu (albo nie skończeniu, trudno mi powiedzieć) gimnazjum, Babcia znalazła się, nie wiem w jaki sposób, na Uniwersytecie Jagiellońskim i tam poznała Dziadka Felicjana, który także studiował – co prawda bez matury, bo został wyrzucony z radomskiego gimnazjum z wilczym biletem za organizowanie strajku szkolnego; ale wówczas w Krakowie nie wymagano matur od studentów, zwłaszcza Królewaków. Wzięli skromny ślub w barokowym kościele świętego Floriana i wyjechali do Monachium, bo Dziadek chciał studiować dalej. Tam urodziła się ich pierwsza córeczka, Ciocia Jadzia. Kiedy po październiku pięćdziesiątego szóstego roku pootwierwały się różne możliwości i w Nowym Targu organizowano wycieczkę do NRF, Ciocia zapisała się, nie bacząc na spore koszty, ponieważ bardzo chciała zobaczyć miasto swojego urodzenia. Nie pojechała; pewien wpływowy obywatel stwierdził, że Ciocia, jako urodzona w Monachium i znająca trzy języki obce jest elementem niepewnym i może wybrać wolność. Wepchnął się na jej miejsce, wyjechał i rzecz jasna wybrał wolność, choć ani jednego obcego języka nie znał.

Dziadek chciał postudiować w Heidelbergu, pasjonowała go historia średniowiecza, ale niespodziewanie nadeszła wiadomość, że zmarł jego ojciec i trzeba objać majątek.

Babcia, głęboko wierząca katoliczka, momentami bigotka, miała w papierach wyznanie prawosławne. Zjechała do prawosławnej wsi, gdzie tylko dwór był katolicki. I to swoje prawosławie ukryła, licząc, że nikomu nie przyjdzie do głowy zaglądać pani dziedzicze w dokumenty. Udało się. Ale przed samą drugą wojną światową, gdy władze Rzeczypospolitej podjęły rękami żołnierzy haniebną akcję burzenia cerkwi na kresach, Babcia, która miała dość powodów, aby prawosławia nie cierpieć i nie manifestować solidarności z ruską wiarą – postawiła się ostro.

Piotr Stawecki (*Następcy Komendanta*, Warszawa 1969) napisał o tym wydarzeniu:

Nawet niektórzy obszarnicy odnosili się do działalności wojska nieprzychylnie lub z rezerwą. Część z nich – zdaniem raportu wojskowego – akcję rewindykacyjną »sprowadza do spraw interesów swojego majątku, swojego państwa«. Jako przykład przytaczano wieś senatora Felicjana Lechnickiego – Serebryszcze. Mieszkająca tam jego żona oświadczyła wprost, że przez »odebranie świątyni prawosławnym stałaby się im krzywda, do której ona ręki przyłożyć nie może«. Podobne stanowisko zajęli też i niektórzy inni ziemianie. Ta postawa obszarników podyktowana była chęcią utrzymania dobrych stosunków z ludnością prawosławną, aby zapewnić sobie jej lojalność i życzliwość. Obszarnictwo bało się strajków ludności ukraińskiej i ich [! – tak w tekście] zemsty, zdarzało się bowiem, że podpalano zabudowania itp.

Myśl Piotra Staweckiego, jeśli ją dobrze zrozumiałem, daje się wyłożyć mniej więcej tak: skoro ktoś posiadał tysiące morgów, pałac i konie pod wierzch, to z definicji był podlecem, niezdolnym do uczuć wyższych. A jeśli niektóre jego czyny zdają się świadczyć o czymś innym? Wówczas z pewnością kryje się za nimi jakaś moralna machlojka. Gdyby więc np. żona senatora Lechnickiego przyłożyła rękę do zburzenia serebryskiej cerkwi, byłaby nacjonalistką i katolicką fanatyczką. Skoro zaś cerkwi broniła, to oczywiste, że powodował ją ciasny klasowy interes, oportunistyczny, świętoszkoizm oraz zwykłe tchórzostwo. Piotr Stawecki ani mnie ani ziębi ani grzeje. Przesyłam mu ukłony i pozwolę sobie skorzystać z okazji, by przypomnieć, że niezależnie od epok i klas istnieje coś takiego jak prawość, godność, instynkt czynienia dobra, odwaga.

Babcia, jak ją pamiętam, była już chyba zupełnie niezdolna do jakichkolwiek zdecydowanych czynów – ani dobrych, ani złych. Wyrzucenie z majątku, śmierć jedyne go syna, powstanie, tułaczka popowstaniowa, los Cioci Tereni, która wyszła do powstania i wylądowała w Londynie bez możliwości powrotu, nowy powojenny ład, który mnie wydawał się czymś oczywistym, bo w nim wzrastałem, ale w oczach Babci był jedną wielką potwornością, barbarzyństwem, apokalipsą; bieda

w rodzinie, aresztowanie Stryja Zdzisława i jego proces, stała groźba aresztowania Dziadka Felicjana – Boże ko-chany, można sobie wyobrazić, czym to wszystko było dla starej, nieporadnej kobiety. Mówiło się w rodzinie, że zestarzała się szybko przez tę tatarską krew; ale mnie się dzisiaj wydaje, że demencja Babci była po prostu jej reakcją na rzeczywistość. Nie czytywała gazet, nie słuchała radia, z tego co się w Polsce Ludowej działo nie usiłowała czegokolwiek zrozumieć; godzinami stawiała pasjanse, paliła papierosa za papierosem, a po każdym sztachnięciu kaszłała straszliwie i splotała długą, sprężystą śliną do stojącego u jej stóp bordowego nocnika. Lubiłem się temu przyglądać. Plwocina opadała i wznosiła się jak piłka na gumce; było to frapujące, ani trochę nie obrzydliwe, bo naturalne.

Posłała Babcia Anię po cukier do sklepu za rogiem. Mija godzina, druga godzina, trzecia godzina. Ania była bardzo zasadnicza oraz kryształowo uczciwa – więc gdy dochodziła do lady, a ktoś prosił żeby go przepuścić, podając niezwykle ważne powody – wpuszczała, ale na swój wyłączny koszt, nie na koszt ludzi, stojących za nią. To znaczy ustępowała miejsca, a sama szła na koniec ogonka.

Wieczór zapadł, gdy Ania wróciła do domu. Rozgwieżdzone niebo było nad nią, prawo moralne w niej, cukier w koszyczku. – Na miłosierdzie Boskie! – krzyknęła Babcia – a cóżże ty robiła tyle czasu?

– Kupowałam cukier w zgodzie z własnym sumieniem. A może Babcia zna jakieś inne sposoby kupowania cukru? Jeśli tak, to słucham. No, słucham.

– Już dawno mam ten cukier, nie trzeba się było tak wysilać – mówi Babcia – wysłałam Basię, poszła i przyniosła po kwadransie. (Basia, robotnicze dziecko, była naszą sąsiadką i szkolną koleżanką Ani; często do nas zaglądała).

– Czy tak? – pyta Ania Basię, a głos ma taki, że niech się Savonarola schowa. Basia uśmiecha się skromnie i mówi:

– No pewnie, podeszłam z boku. Przecież Babcia nie miała czym herbaty osłodzić. Widziałam cię, ale ty mnie nie zauważyłaś.

Ania błędnie.

– Ty złodziejkę ludzkiego czasu!

Basia rozumie tylko tyle, że nazwano ją złodziejką, więc przez kilka sekund milczy, oczy wytrzeszczając, a potem wybucha szlochem i rzuca się do drzwi.

– A Babcia ją jeszcze demoralizuje! Babcia czerpie korzyść z przestępstwa!

– Jezusie Mario, jaką korzyść, z jakiego przestępstwa? – biadoli Babcia.

– Ach, więc Babcia uważa, że można wciskać się bez kolejki? Że nie jest to grzechem przeciwko miłości bliźniego? Czy tak?

– Przecież oni nam wszystko zabrali.

– Co zabrali?

– Serebryszyce.

– Kto Babci zabrał Serebryszyce? Ci ludzie z kolejki?

Sygnety i pierścienie

Córki pana Wańkowicza kilka razy spędzały lato u ciotek w Bezku. Pan Wańkowicz później to opisał, ale przedtem chciał się ciotkom zrewanżować, więc ofiarował im złoty sygnety z Zadorą, herbem Lechniczych. Dzisiaj zrewanżować się znaczy dać łapówkę czyli wręczyć korzyść materialną urzędnikowi albo komuś innemu, dajmy na to za miejsce w klinice. Uprzejmie wyjaśniam, że kiedyś czasownik ten znaczył co innego. Znajomy polonista opowiadał, że przed ćwiczeniami z pozytywizmu zrobił studentom test językowy i dostał takie oto odpowiedzi: *być na kondycji* znaczy dobrze się odżywiać, wracać do sił; *maść końską* – smarowidło na końskie przypadłości, lek weterynaryjny; *była mu powolną* – była leniwa, marudna; *jechać rzemiennym dyszlem* – brak odpowiedzi; *samotrząść* – zaspokajać się erotycznie bez partnera. Pozwalam sobie objaśnić, co znaczył czasownik „zrewanżować się”, ponieważ książka pana Wańkowicza została mianowana lekturą szkolną, być może jest czytana przez nauczycieli, chciałbym uniknąć nieporozumień.

Można sobie wyobrazić, ile się państwo Wańkowiczowie nagłowili. Ciotki dawać owszem umiały, ale brać...

Tak zwany praktyczny prezent (np. kupon bielskiej wełny, radioodbiornik) był absolutnie wykluczony. Sygnety miał tę zaletę, że Ciotki nie mogły go nie przyjąć, mimo iż był drogi – ponieważ jego wartość materialna i, jeśli wolno się tak wyrazić, wymowa ideologiczna, tworzyły nierozdzielalną całość. Państwo W. odczekali pół roku i dali go na gwiazdkę; odbiór dziewczynek z wakacji i równoczesne wręczenie sygnety byłoby ogromnym nietaktem i sprawiłoby Ciotkom wielką przykrość, mogłoby stać się przyczyną zerwania stosunków.

Obie strony odetchnęły. Państwo W. mieli problem z głowy, zrewanżowali się drożym prezentem, natomiast Ciotki mogły go przyjąć bez uszczerbku na honorze, ponieważ upominki gwiazdkowe należy przyjmować z entuzjazmem. Zresztą obie pracowały fizycznie, ubierały się po wiejsku, miały ręce jak chłopki. Sygnety był po to, aby był. Do niczego więcej się nie nadawał.

Prezent to zaszczyt obustronny – dla dającego i biorącego. Bardzo tego przestrzegano. Dziadek opowiadał, że pani Piłsudska w Sulejówku poleciła krawcowej przerobić swój znoszony płaszcz (sukienkę?) na paltocik dla córeczki. Krawcowa wykonała obstatunek, ale widząc że państwu się nie przelewa, dodała trochę swojego materiału, żeby starczyło na paltocik dla drugiej panienki i nie chciała za to pieniędzy. Pani Piłsudska uprzejmie podziękowała, a gdy krawcowa wyszła, poleciła adiutantowi, by tej kobiety nigdy więcej nie wpuścił za próg.

Dopiero komuna sprawiła, że Ciotki obwiesiły się kosztownościami. Gdy je wypędzano z Bezka i Kamiennej Góry, jedna nasadziła sygnety na palec klejnotem do

środku, udawał obrączkę. Druga włożyła lnianą koszulę zapinaną na złote monety pracowicie obciążone nitką.

Po wojnie Ciocia Mania, Ciocia Jania, Ciocia Marynia, Dziadek Felicjan, Stryj Zdzisław osiedli w Poznaniu. W styczniu pięćdziesiątego dziewiątego zmarł Stryj, potem, w nierównych odstępach, Dziadek i Ciotki. Ich pogrzeby zwały mi się w jeden sielankowy obraz – były to wspaniałe zjazdy rodzinne, pełne ciepła, serdeczności, poczucia wspólnoty. Na pogrzebie Stryja Zdzisława zmarliśmy solidnie, więc rzuciliśmy się na parujący barszcz z uszkami. Pamiętam nalewkę na smorodinie (nie mówiło się „czarna porzeczka”, tylko „smorodina”) oraz pana Leona Suchorzewskiego, który konspirował z Lechnickimi jeszcze przed pierwszą wojną światową, a i potem ich drogi nieraz się krzyżowały. Na stypie był duszą towarzystwa, snuł opowieść o cielaku spod łotewskiej granicy, który na dźwięk zbliżającego się pociągu wbiegał na tory, szeroko rozstawiał przednie nogi i pochylał łeb, jakby miał zamiar bój się z lokomotywą; maszynista zwalniał, gwizdał, wrzeszczał, aż musiał gwałtownie hamować; bagaże leciały z półek, pasażerowie spadali z ławek, cielak w ostatniej chwili uskakiwał i robił minę, że sprawa go nie dotyczy, spod kół sypały się skry, pasażerowie wystawiali głowy z okien i znieważali maszynistę okropnymi wyrazami, jak na przykład cymbał, durak, nieudałota, szaleju się objadł. Pastuch pędził przez pole wywijając batem, maszynista wygrażał kułakiem i obiecywał straszliwe męki na tym i na tamtym świecie. Słuchaliśmy, turlając się ze śmiechu. Pan Leon, jak tamten maszynista, umiał w porę zahamować, dzięki czemu nigdy się nie dowiedziałem, że pewnie za którymś razem cielak przyplacił te swawole życiem. Uśmiechał się, przeproszał towarzystwo, że wychodzi zapalić, a skoro drzwi się za nim zamknęły, ktoś opowiedział o jego niedawnym wyczynie. Otóż pan Leon mieszkał na najwyższym piętrze ocalałej warszawskiej kamienicy. Sąsiedował przez korytarz z panią, która miała dwa doktoraty i piękną kartę wojenną, ale była niezbyt porządnicka; może w ten sposób nieświadomie wyrażała swoje zagubienie i niezgodę na powojenną rzeczywistość. Mieszkała z dorosłą córką. Pośrodku ich salonu, na dębowym przedwojennym parkiecie, leżał rozpruty worek ziemniaków. Niektóre gnęły, inne, wprost przeciwnie, kielkowały. Podłogę niekiedy owszem zmiatano, ale śmiecie zgarniano w ką. Z biegiem lat, z biegiem dni uzbierał się spory kurhanek. Łóżek nie ścielono, były pilniejsze sprawy. Pół biedy, gdy odbywało się to w czterech ścianach, ale po jakimś czasie panie zaczęły poszerzać swój Lebensraum, wystawiając na korytarz rozmaite paki, a nawet pomniejsze meble. Pewnego dnia pan Leon stracił cierpliwość. W sklepie papieżniczym Bazarnika na Nowym Świecie zaopatrzył się w dziecięcą gumową drukarenkę oraz tusz, po czym nie szczędząc trudu, złożył pieczętkę następującej treści: Prezydium Stołecznej Rady Narodowej, Komisja ds. Ładu i Porządku nr 7, Warszawa, pl. Dzierżyńskiego 1/3. Opieczętował tym kopertę i pismo

zawiadamiające obywatelkę... że dnia... (dał jej trzy tygodnie) w zajmowanym przez nią lokalu (adres) odbędzie się kontrola sanitarna. Działając na podstawie Ustawy numer z dnia, § numer ustęp numer, Dziennik Ustaw numer z dnia, jeśli komisja zastanie bałagan i brud, to wyciągnie konsekwencje. Przypomnił także o przepisach zabraniających nadmiernego meblowania korytarzy, tudzież powołał się na niektóre inne punkty regulaminu porządku domowego. Wysłał listem poleconym. Nie to było najstraszniejsze, że zmusił sąsiadki do szaleńczej harówki (na dobitkę przez kilka dni winda nie działała), ale to, że gdy minął termin, komisja nie przyszła, a spracowane panie siedziały naburmuszone, rozglądając się z nienawiścią po obrzydliwie czystym mieszkaniu, odwiedził je ubrany w ciemny garnitur, wręczył bukiet róż, buchnął jedną damę w mankiet, drugą damę w mankiet i przyznał się do wszystkiego. Został nazwany starym bałwanem! To była najgorsza obelga, na jaką zdobyła się pani doktor dwóch fakultetów, czyli doktor doktor, skądinąd kobieta szlachetna, odważna, skromna, zasłużona, ongiś wytworna panienska, królowa balów, najlepsza partia w okolicy, nawet harcmistrzyni.

Na pogrzebie Cioci Mani nie byłem: oblałem kilka egzaminów, czekała mnie sesja poprawkowa.

Mama wróciła z Poznania z sygnetem na palcu. Opowiedziała jego dzieje. Pobawiłem się nim, próbowałem odcisnąć klejnot w roztopionej stearynie, spytałem ile jest wart.

– Jak dla kogo. Wezmę go jutro do pracy.

– Po co?

– Żeby sprawić przyjemność szefowej.

Pracowała wtedy w redakcji tygodnika. Było jej tam bardzo źle, intensywnie szukała nowej posady. Naczelnia bezinteresownie robiła ludziom na złość, poza tym przy każdej okazji albo bez okazji głosiła prawdy objawione z dziedziny marksizmu – leninizmu, interpretowała w jedynie słuszny sposób fakty z historii najnowszej, uczyła podwładnych miłości ludowej ojczyzny, a niestety również stylistyki i ortografii. Prócz tego lubiła zwierzać się personelowi, że pochodzi z bardzo dobrej rodziny: papa miał przed wojną luksusowy zakład jubilerski, mieszkali w Alei Róż, jeździli do Krynicy, Paryża, bywali na balach i premierach.

Mama wyczaiła dogodny moment i powiedziała słodko:

– Ależ wiem, wiem, to była sławna firma, ogromnie wytworny lokal, miał opinię najlepszego w Warszawie. Znakomita obsługa. Moja ciotka zamawiała tam sygnet. Nie mogła się nachwalić...

Eksperyment, dość ryzykowny, przyniósł zbawienne owoce: naczelnia przez jakiś czas obchodziła mamę szerokim łukiem, oszczędzając jej wykładów z materializmu dialektycznego i puszczając teksty bez ingerencji.

Mama włożyła sygnet, idąc na rozmowę z nowym szefem. Poskutkowało. Klejnot szlachecki okazał się w Polsce Ludowej nadspodziewanie użyteczny.

I tak oto sygnet, po wieloletniej drzemce na dnie biurka, ustrojowych perypetiach, kwarantannie u ciotki Mani w Poznaniu, trafił na swój czas, w odpowiednie ręce. Mama wkładała go na uroczyste okazje (pożreby, imieniny, do teatru), gdy szła coś ważnego załatwić, albo po prostu, gdy jej było smutno.

Kiedyś powiedziała Zosi, że gdy wkłada sygnet, to czuje, jakby ją ktoś trzymał za rękę.

Co jakiś czas pytała:

– Powiedz, ale szczerze. Nie wydaje ci się to pretensjonalne i dziwaczne?

Odpowiadałem zgodnie z najgłębszym przekonaniem, że nie.

Likwidowaliśmy mieszkanie zmarłej Mamy. Znacznie ułatwiła nam robotę, bo czując że odchodzi, rok wypraszała w okolicznych sklepach kartonowe pudła i składała na pawlaczu, był tego spory zapas. Kupiła także dwa wielkie kłębki sznurka, papier pakowy i zachomikowała pół litra czystej wyborowej, abyśmy mieli czym opłacić wyniesienie mebli. Wszystko ogromnie się przydało, zwłaszcza ta wódka. Na podwórku zagadnąłem dwóch hydraulików, którzy śpiesznym krokiem zdążyli do jakiejś pękniętej rury. Usłyszawszy, jaka zapłata ich czeka, pomaszrowali za mną i przez dwie, może trzy godziny pracowali nadzwyczaj ofiarnie, a woda gdzieś sikała sobie wesoło. Był październik osiemdziesiątego drugiego roku, stan wojenny. Jak zwykle w trudnych dla narodu chwilach, tak i wtedy wódka okazała się walutą znacznie mocniejszą niż złote polskie, potocznie zwane sianem.

Właściwie to nie był pierścionek, tylko złota obrączka, od zewnątrz pokryta czarną emalią, z brylantem na krótkim łańcuszku.

– Weź to. Wsadzisz na palec, celnicy się nie tropną. A wiesz, co to jest?

– No, obrączka z brylancikiem.

– To jest tak zwana żałobna biżuteria. Ten brylancik na wisiorku, to łaża. Znaczą, że mężczyzna tej kobiety – mąż, brat, syn, narzeczony – stracił życie w powstaniu styczniowym albo został wywieziony na Syberię. Na kobietę, która takie coś nosiła, mówiono „wdowa narodowa”, należało jej pomagać.

– A skąd mama to miała?

– Rodowe. Przypadło jej po śmierci którejś z ciotek.

– Czemu nigdy o tym nie mówiła?

– Bo praprababkę kozacy publicznie wysmagali nahaikami na rynku za pomoc powstańcom. A to nie był temat do gawęd. W ten sposób odgradzano się od pewnych spraw, nie przyjmowano ich do wiadomości. Rosjan na ulicy się nie zauważało. Podobnie jak Niemców podczas drugiej wojny. A jeśli patrzyło się na nich, to w szczególny sposób, który w ruskim popowstaniowym kodeksie karnym miał swoją nazwę: pagrubić głazami, obrazić wzrokiem. Za to przestępstwo można było ładnie beknąć. Dziadek opowiadał, że jego ojciec opowiadał, że gdy kawaler uderzał w konkury, to rodzina panny pytała, ile razy siedział na Cytadeli. Jeśli ani

razu, to jego szanse gwałtownie malały. Patrzano podejrzliwie, traktowano jak smarkacza. Cóż to za mężczyzna, który nie siedział.

– To ja tego nie biorę, to powinno zostać w Polsce.

– Weź, od razu włóż na palec, żeby się nie zawieruszył. Najwyżej potem oddasz do Muzeum Sikorskiego. Mama wspominała, że gdy była pensjonarką, od czasu do czasu przyprowadzano im do szkoły powstańców styczniowych, którzy seplenili w koło Macieju i to było żalosne. A Dziadek na to, że jakiś powstaniec, nazywał się na Ja, zaraz, zaraz, Jaworski, Jankowski, Januszkiewicz? – był zesłany i gdzieś na etapie w środku Rosji okazało się, że nie ma go na liście. Lista naturalnie była po rosyjsku, więc ten Jaworski figurował na końcu, akurat przypadkiem na osobnym arkuszu, no i ten arkusz z jednym nazwiskiem gdzieś się zawieruszył. Oficer, który eskortował więźniów, dbał, żeby na sztuki się zgadzało, więc najpierw chciał Jaworskiego dyskretnie powiesić, ale ostatecznie puścił. Tyle, że przedtem odebrał od niego słowo honoru polskiego szlachcica, że będzie powiadamiał o każdej zmianie adresu, a gdy lista się odnajdzie, sam się zgłosi na Syberię celem odbycia kary. Ale się nie odnalazła. Panowie pisywali do siebie kurtuazyjne listy, dopiero wybuch pierwszej wojny przerwał tę dziwną znajomość.

– To był nasz przodek, ten Jaworski?

– Nie wiem. Trzeba spytać Mamy.

– Ale Mama nie żyje.

– No tak, prawda. O jejku, już żywcem nie ma kogo zapytać.